NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata w Polsce: Kwartalnie K 16·30, Mk 10·90. Półrocznie K 32·60, Mk 21·80. Rocznie K 65·20, Mk 43·60. **W Austryi:** Kwartalnie K 16·30. Półrocznie K 32·60. Rocznie K 65·20. **W Niemczech:** Kwartalnie Mk 10·90. Półrocznie Mk 21·80. Rocznie Mk 43·60 z przesyłką pocztową.

Zmiana adresu 60 halerzy.

Ceny ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy na ostatniej stronie 1 kor., na miejscu specyalnie zastrzeżonem kor 1·40, za wiersz nonpareilowy jednoszpaltowy 2 kor., za wiersz petitowy w części reklamowej 5 kor.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV.
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Wyłączne zastępstwo na Warszawę i Królestwo Polskie: Zygmunt Bereda, Warszawa, Marszałkowska 119. Łódź, Piotrkowska 62.

Numer pojedynczy 1 kor. 30 hal. — 88 pf.

Rok XVI. **Kraków, 15 marca 1919.** **Nr. 11**

Misya koalicyi na Śląsku.



Przedstawiciele koalicyi przybywają do Cieszyna.

Misya koalicyi na Śląsku.

Sprawa Śląska znajduje się obecnie w zupełności w rękach przedstawicieli koalicyi. We środę 12 lutego przybyła do Cieszyna misya koalicyi, w skład której wchodzą pp. F. Grenard, przedstawiciel republiki francuskiej, p M. A. Coolidge, przedstawiciel Stanów Zjednoczonych Ameryki i podpułkownik B. J. B. Coulcon, przedstawiciel Wielkiej Brytanii, A. W. Du Bois, Lt. Bass, sekretarze. Ze strony generała Barthelemy'ego bierze udział w misyi angielski major Sortham, jako zastępca pułk. brygadyera Latinika, jako informator w sprawach wojskowych rotmistrz Czaczka-Ruciński, ze strony czeskiej pułkownik Snejdarek ze swoim sztabem.

Warszawskie ministeryum spraw zagranicznych reprezentuje bar. Dangel.

Przybycie misyi koalicyjnej odbyło się w pierwszej chwili dosyć cicho, gdyż Czesi starali się nie dopuścić Polaków do przedstawicieli koalicyi. Polonia cieszyńska urządziła jednak sama powitanie misyi tak serdeczne, jakiego Cieszyn dawno nie widział.

W dniu 13 lutego od rana panował ożywiony ruch w mieście i na wszystkich drogach, prowadzących do Cieszyna. Ze wszystkich wiosek i zakątków kraju — z cichej chaty wieśniaczej, z okręgów przemysłowych, z zagłębia — snuły się wielkie rzesze ludu w stronę wieży Piastowskie. Rozstawione konne i pie ze patrole czesko słowackie zatrzymywały grupy pieszych i powozy z jadącymi; niejeden nie został wpuszczony do miasta. Dom Narodowy ozdobiono chorągwiami polskiemi i koalicyjnemi. Ostatnie wieści, że władze czesko słowackie, w myśl ugody paryskiej z dnia 1 b. m., zapewne ze względu na przybycie komisyi ententy, internowanych i wywiezionych Polaków wypuściły na wolność, przelatują błyskawicą z ust do ust. Rynek cieszyński podobny do mrowiska, tysiączne tłumy czekają od godziny wpół do 10 przed południem na moment, kiedy deputacya w imieniu ludności polskiej, umyślnie i celowo poprzedniego dnia pominiętej przez władze czeskie przy oficyalnem powitaniu komisyi, uzyska audyencyę. Mijają godziny; ludność cierpliwie czeka, nie rozbiega się, nadchodzi południe, rzesze ciągle rosną. Naraz przychodzi wiadomość, że po południu deputacya zostanie przyjętą. O godzinie trzy kwadranse na trzecią po południu wyrusza delegacya polska z Domu Narodowego do hotelu „pod Jeleniem", a za nią w zupełnym spokoju i w poważnym nastroju kilkunastotysięczny zastęp ludu polskiego.

Deputacya, złożona z 40 osób, zastępców wszystkich warstw ludności, staje po pewnych trudnościach, robionych ze strony p. Szramka, w salonie komisyi. Na rynku czeka lud na wynik posłuchania. W niedużym saloniku na pierwszem piętrze przyjmuje komisya ententy reprezentantów polskich. Członkowie komisyi stoją rzędem: zastępca Stanów Zjednoczonych, wysłannik Brytanii w uniformie, Francuz i Włoch. Deputacya staje dokoła wi ńcem

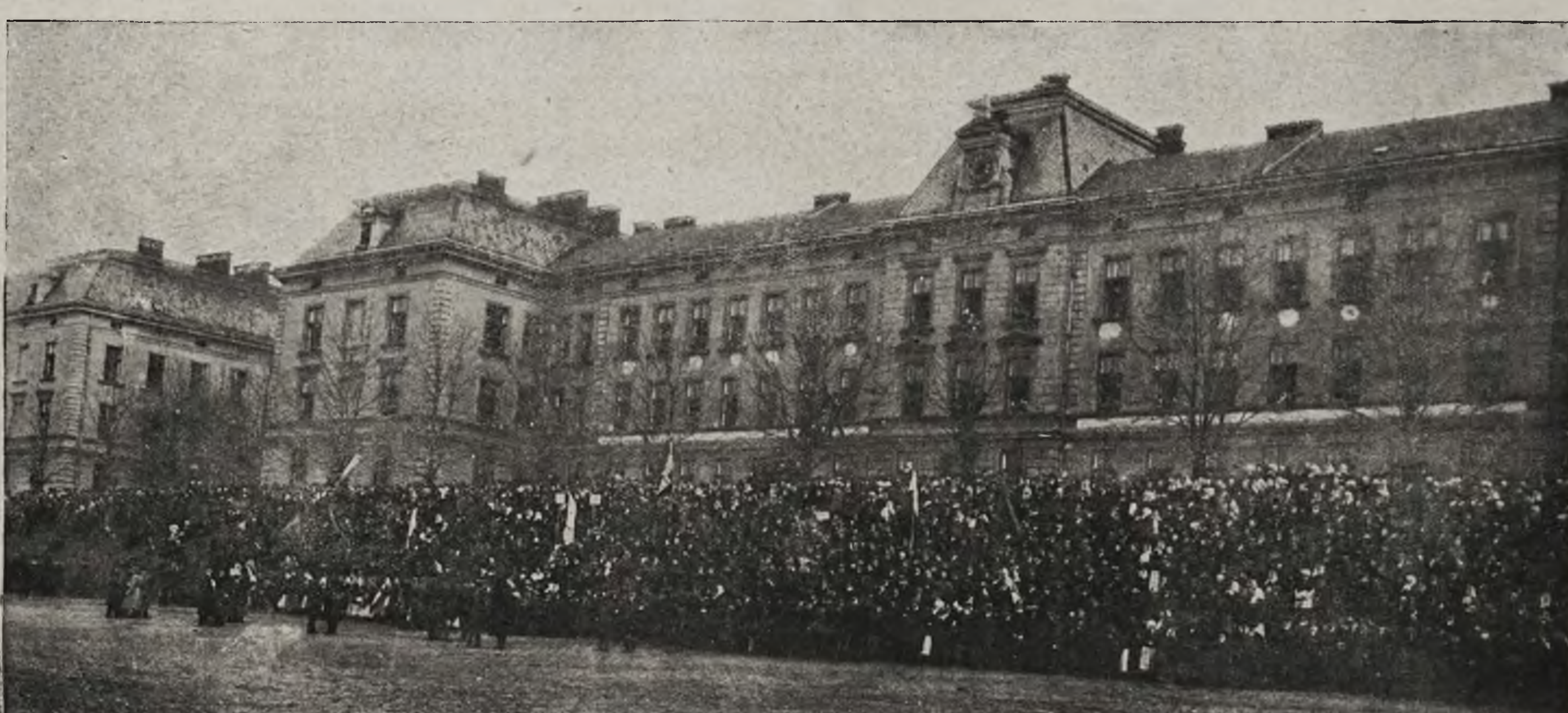
Prezydent tymczasowego Rządu polskiego i Rady Narodowej na Śląsku, wypuszczony poprzedniej nocy z więzienia, dr. Jan Michejda, wygłasza do komisyi powitalne słowa. Usprawiedliwia siebie i ludność polską, że poprzedniego dnia nie mogła powitać dostojnej misyi na polskiej ziemi, gdyż razem z innymi obecnymi był więziony przez Czecho Słowaków. Wypuszczono już wprawdzie na wolność część wywiezionych i internowanych, których było tysiąc z górą lecz władze czeskie trzymają dotychczas w więzieniu pokaźną liczbę Polaków ze Śląska, między nimi inżynierów górniczych Kiedronia i Sykałę z żonami. Byłoby bardzo pożądanem, by natychmiast wypuszczono obustronnych zakładników. Nadto ludności polskiej celowo i rozmyślnie nie zawiadomiono o terminie przybycia dostojnej komisyi, przeto przychodzi dopiero dzisiaj. Imieniem tymczasowego Rządu polskiego, Rady Narodowej, całej ludności polskiej na Śląsku i wszystkich jej warstw i sta-



Misya koalicyi na Śląsku Pierwszy oddział wojsk polskich wkracza do Cieszyna z pułkownikiem Jatelnickim na czele. Fot Pitzner



Tragiczna śmierć oficera polskiego: Por. Jakób Lemek zabity przez Ukraińca. (Fot. Henner)



Misya koalicyi na Śląsku: Tłumy ludności polskiej manifestują na cześć koalicyi na ulicach Cieszyna (Fot. Pitzner)

nów, wita gorąco z radością zastępców zwycięskiej koalicyi na naszej polskiej ziemi, W krótkich, zwięzłych słowach skreślił polski ruch narodowy na Śląsku od początku ery konstytucyjnej, wskazał na wzajemny dotychczasowy poprawny, nawet ścisły stosunek obu narodów, wyłuszczył powstanie rządów polskich w polskiej części Śląska Cieszyńskiego po upadku Austryi i konflikt, jaki wywołał nagły i brutalny najazd czesko słowacki. Dalej stwierdził, że ludność polska na Śląsku zawsze była wrogą wszelkim hasłom bolszewickim, że na Śląsku panował ład i porządek pod rządami polskimi; obecnie przychodzi w imieniu ludności z całą ufnością do komisyi, która ma na miejscu zbadać stosunki i na podstawie tych badań przedłożyć konferencyi pokojowej odpowiedni materyał. Rozchodzi się obecnie o to, by przywrócono stan pierwotny i wycofano bagnety najezdców z obszarów polskich. Mowę, wzgłoszoną ustępami, przetłumaczył na język francuski p. Warchałowski, a na język angielski pani Rose.

Przewodniczący komisyi odpowiedział w dłuższym francuskim wywodzie, który obecnym zakomunikował po polsku p. Warchałowski, że serdecznie dziękuje za gorące słowa powitania, oświadczył, że naród francuski i cała koalicya odnosiła i odnosi się z całą sympatyą do Polaków, że Polacy mogą liczyć na bezstronne i sprawiedliwe zbadanie spornych kwestyi. Na dniu jutrzejszym



Przedstawiciele koalicyi w Poznaniu: Powitanie generała Dupont na placu Wilhelmowskim przez członków Naczelnej Rady Ludowej.



Przedstawiciele koalicyi w Poznaniu: Komendant nowo uformowanych oddziałów składa przysięgę.

(t. j. 14 b. m.) ma konferencya komendantów obu armii w Cieszynie zrealizować ugodę paryską co do obsadzenia spornych obszarów. Na zapytanie, czy komisya zechciałaby przyjąć owacyę ludności polskiej dla ententy, odpowiedział przewodniczący, że komisya obecnie stoi przed ciężką i żmudną pracą, do której potrzebuje skupienia i spokoju. Gotowa jest wysłuchać wszystkich zażaleń i wyjaśnień ze strony polskiej co do dotyczących kwestyi spornych i zarzutów i przyjąć deputacyę zorganizowanego ludu robotniczego. P. Warchałowski odczytał oświadczenie robotników po francusku, ułożone i przez delegatów robotniczych podpisane, które następnie wręczono p. przewodniczącemu komisyi.

Po audyencyi, trwającej pół godziny, pożegnała komisya delegacyę bardzo serdecznie.

Oddano również przygotowany jeszcze przed wypuszczeniem dra Michejdy w języku polskim, francuskim i angielskim wystylizowany adres. Niektóre punkty adresu stały się wobec ostatnich wypadków (jak n. p. wypuszczenie dra Michejdy) bezprzedmiotowymi.

Tysięcznym rzeszom, czekającym do godziny piątej cierpliwie na rynku, w krótkości przedstawił donośnym głosem p. dyrektor Piątkowski (również wypuszczony) przebieg przyjęcia i wezwał do spokojnego rozejścia się. Po przemówieniu delegata robotników. zaśpiewały potężnym głosem tysięczne rzesze mazurka Dąbrowskiego „Jeszcze Polska nie zginęła“ i rotę Konopnickiej. Podnosiły się palce w przysiędze w górę, ślubując uroczyście: „Nie damy ziemi, skąd nasz ród“, poczem powoli rozeszły się rzesze do domu.


Walki na Wołyniu: Cerkiewka w Chełmie przy prawosławnym soborze.



Przedstawiciele koalicyi w Poznaniu: Generał Dupont z generałem Dowbor-Muśnickim i członkami Naczelnej Rady Ludowej witają wojsko polskie.

Dzień Gdańska w Krakowie.

Niezwykle podniośle zamanifestował Kraków w ubiegłą niedzielę swe żądania zwrotu naszego odwiecznego portu Gdańska

Manifestacya, urządzona z inicyatywy Komitetu obrony Gdańska i wybrzeża Bałtyku złączyła wszystkie partye polityczne, stany i zawody w jeden potężny obóz

Już od wczesnego rana tysiące Krakowian zdążało na Rynek, skąd z pod pomnika Mickiewicza miał ruszyć manifestacyjny pochód pod pomnik pogromcy Krzyżaków króla Jagiełły. Koło godziny 11 ta połać Rynku zalana była tłumami, sformowanemi w grupy. Tak potężnego pochodu od czasu obchodu Grunwaldzkiego Kraków nie widział. Z uderzeniem godz. 11 ruszył pochód ulicą Floryańską na plac Matejki.



Dentystka wojsk polskich w Chełmie



Walki na Wołyniu: Gen. Rydz-Śmigły z majorem Zosik-Tessarą

Obchód otwierała muzyka studencka, za którą postępowali uczniowie ze sztandarami oraz uczenice wszystkich szkół krakowskich. Następnie postępowała Rada miejska in corpore z trzema wiceprezydentami na czele, cechy ze sztandarami, profesorowie uniwersytetu, których prowadził rektor ks. Sieniatycki z dziekanami wszystkich fakultetów, otoczeni pedelami w historycznych togach, niosącymi berła uniwersyteckie. Tuż za tą grupą szli bohaterzy 1863 roku ze sztandarem. Pochód zamykały karne szeregi młodzieży gimnazyalnej. Za niemi szły dziesiątki tysięcy Krakowian.

Po przybyciu na plac Matejki, który okazał się za małym, aby pomieścić wszystkich uczestników, pierwszy do zebranych przemówił prof. Krajewski. Oddał naprzód hołd weteranom i bojownikom za wolność, poczem mówił o historyi Gdańska.

Gdańsk mimo półtorawiekowej niewoli pozostał polskim. Twarda ręka krzyżacka nie zdołała zatrzeć polskości. Gdańsk był polskim i takim pozostanie. Przez kilka wieków Polska walczyła o przystęp do morza i nigdy — póki miała moc — nie pozwoliła sobie wydrzeć tego odwiecznie polskiego miasta i portu. Bez Gdańska niema Polski, zakończył.

Następnie zabrał głos poseł Bobrowski, wyjaśniając znaczenie handlowo ekonomiczne dla Polski posiadanie Gdańska. Wszystkie prawa przemawiają za przynależnością tego miasta do Polski — wobec czego należy nam żądać a nie prosić zwrotu portu gdańskiego.

Po przemowach dyrektor „Żeglugi polskiej" odczytał rezolucyę, wysłaną do prezydenta ministrów Paderewskiego, którą zebrani jednogłośnie uchwalili. Brzmi ona:

„Lud krakowski, zgromadzony w dniu 9 marca 1919 r. u stóp pomnika zwycięzcy Prusaków, Władysława Jagiełły ma zaszczyt prosić Pana o interwencyę przed kongresem pokojowym w sprawie zwrotu naszego starego jedynego portu Gdańska i naszego odwiecznego wybrzeża bałtyckiego, którego ludność polska przeciwstawiała się przez długie wieki wszystkim wysiłkom germanizatorów. Wybrzeże gdańskie nie może być oderwane od Polski nie dotykając uczuć milionów Polaków, ni wielkich zasad demokratycznych, głoszonych przez mocarstwa zachodu. Gdańsk musi należeć do Polski!"

Poważną tę manifestacyę zakończyły okrzyki na cześć koalicyi — poczem po odśpiewaniu pieśni patryotycznych pochód się rozwiązał.

Podobne manifestacye odbyły się w tym dniu w całej Polsce.



Dzień Gdańska w Krakowie: Olbrzymi pochód manifestacyjny pod pomnikiem Grunwaldzkim.

Adam Wiaryga-Minieski.

JAK KRUKI.

Powieść z dni ostatnich.

31

I znowu Rózi zabrakło odwagi. Zrozumiała, że tamta przeczuwa, domyśla się i tchórzliwie cofnęła się przed bolesnem „otwieraniem oczu".

— Ech! nic ważnego. Powiem ci kiedyindziej.

W przedpokoju zadźwięczał dzwonek. Smukłe ciało Wandy przebiegły drżenia. Oczy błysnęły jak czarne gwiazdy. Dziewczyna uczyniła ruch, jakgdyby wybiedz chciała z pokoju, ale zapanowała nad sobą i została. Szybko tylko złożyła robotę, schowała ją do komody, usunęła rozrzucone tu i owdzie skrawki i postawiła na stoliku flakon ze świeżymi kwiatami.

Upłynęła minuta, potem dwie, trzy, pięć, dziesięć... Drzwi panieńskiego pokoiku nie otwierały się. Nikt nie przychodził.

Wanda wsparła się rękami o stół i czekała.

Wreszcie po jakimś kwadransie weszła Jadwinia Borowicka.

— Wandziu, tatuś przyszedł z panem Rudą. Mamusia prosi cię do jadalni, bo zaraz będzie kolacya. I pannę Rózię prosi.

— O! na mnie już czas. Muszę iść do domu.

Rózia włożyła żakiet i zaczęła naciągać rękawiczki.

Jasna twarz Wandy zszarzała dziwnie. Mogła w tej chwili służyć malarzowi za model do obrazu „Rozczarowanie".

Głos dziewczyny drżał, kiedy krótko odpowiedziała siostrze:

— Dobrze. Przyjdę za chwilę... Poczekaj jeszcze, Róziu.

Kiedy Jadwinia wybiegła z pokoju, Wanda powolnym, zmęczonym ruchem zwróciła głowę ku przyjaciółce:

— Tak mi się nie chce tam iść, rozmawiać... taka jestem dzisiaj zmaltretowana. Możebyś ty choć została?

— Nie, Wandziu, stanowczo nie mogę. A tobie właśnie trochę pogawędki dobrze zrobi. Pan Ruda bardzo sympatyczny i inteligentny...

Panna Borowicka utkwiła w koleżance spojrzenie przenikliwe, prawie surowe.

— Co? I ty także?!...

— Jakto? Co masz na myśli? — zmieszała się lekko tamta — wypowiedziałam tylko moją opinię o panu Rudzie.

Wanda szarpnęła nerwowo koronkę przy bluzce.

— Nie udawaj... tosamo ci przeszło przez głowę, co i mojemu ojcu. Wam się zdaje, że ja mogłabym... Tak... tak, przyznaję. Ruda rzeczywiście sympatyczny jest, ma dużą inteligencyę i zdaje się bardzo dobre serce. Ale dlatego właśnie wolałabym, żeby nie przychodził i nie prześladował mnie swojemi zakochanemi oczyma. I co to za sens... przecież on wie, że ja mam narzeczonego!

Ostatnie słowo Wanda zaakcentowała tak silnie, jakgdyby ktoś protestował przeciw temu, że ona ma narzeczonego.

— To i cóż? Przecież kochać się można nawet w mężatkach, a nie dopiero w pannach, mających narzeczonych. Miłość nie zna ograniczeń — zażartowała Goldbaumówna.

— Ale ja nie chcę, żeby on przychodził do nas tak często! Nie chcę go widywać. Oczarował ojca i...

Wanda urwała, bo nie chciała przyznać się, że sama lęka się tych porównań, które nasuwa jej zdrowy rozsądek, jeżeli na chwilę zdoła przebić mgłę miłosnego zaślepienia.

— Powiedz mi, czy ty równie pobłażliwie traktujesz swojego wielbiciela pana Leona Klugfedera, jak mnie zalecasz traktować pana Rudę?

— Pan Klugfeder nie jest moim wielbicielem, lecz konkurentem i kocha się nie we mnie, lecz w milionach mojego ojca.

— Skąd wiesz? Jesteś ładna, miła. Może mu właśnie o ciebie chodzi.

— Nie znasz takich Leonów Klugfederów. Ja dla niego reprezentuję tylko posag.

Wanda milczała przez chwilę, poruszając jednak wargami w taki sposób, jakby jadła coś gorzkiego.

— Nie rozumiem doprawdy — wyrzekła wreszcie — jak mężczyzna może chcieć żenić się wyłącznie dla majątku. Naprzykład z kobietą brzydką, głupią, ordynarną tylko dlatego, że bogata. Co ty myślisz o tem, Rózka?

Rózia odwróciła głowę trochę na bok, tak, aby się nie spotkać z wyczekującem spojrzeniem Wandy.

— Myślę, że ród posagolowców jest bardzo rozgałęziony.

— Ale niema wśród nich ludzi szlachetnych o wysokiej kulturze.

— Zapewne. Ale idź już do gościa Wandziu. Czekają na ciebie.

— — — — — — — — — — — — — — — —

Kiedy Wanda Borowicka weszła do jadalni, gdzie już nakryto stół do kolacyi, uderzyły w nią odrazu „zakochane" oczy Michała Rudy. A były to oczy wyraziste, poczciwe, serdeczne, barwą i jasnem, czystem spojrzeniem przypominające pogodny błękit nieba, osadzone w twarzy nie pięknej wprawdzie, ale nie tuzinkowej.

Ta głowa trochę szorstka i kanciasta w zarysach zdawała się być ciosaną dłutem prymitywnego lecz genialnego rzeźbiarza. Biła z niej siła męska, która mogłaby nawet razić swą brutalnością, gdyby jej nie łagodziło to właśnie serdeczne spojrzenie i uśmiech niezwykle miły o dziecięcej jakiejś słodyczy.

Michał Ruda był synem chłopskim i to nie jakiegoś bogatego gospodarza, ale ubogiego „chałupnika".

Gimnazyum przeszedł o głodzie i chłodzie, dzięki swej zaciętej woli i wielkim zdolnościom nie ustał w drodze, na której co chwila potykał się o ostre kamienie biedy własnej, głupoty i uprzedzeń ludzkich. Na uniwersytecie lepiej mu się powodzić zaczęło. Znany jako doskonały korepetytor zaczął dostawać dobrze płatne lekcye. Jedną z tych najlepszych lekcyi w arystokratycznym domu porzucił wkrótce, bo wyniosła pani domu zapragnęła zbyt silnie akcentować różnicę pomiędzy „instruktorem", a kształconą przezeń latoroślą o błękitnej krwi.

Bo Michał Ruda dumny był, ambitny i jak się sam wyrażał „w kaszę sobie pluć" nie pozwalał. Raczej bieda, głód, nędza niż poniewierka i opokorzenia. A że nieraz usiłowano upokorzyć źle odzianego, w wykrzywionych butach i wytartem ubraniu biedaka, niezgrabnego chłopskiego syna, który nie miał czasu ni sposobności do studyowania dokładnego przeróżnych form towarzyskich, więc wyrobiła się w nim podejrzliwość i pozorna szorstkość.

Na początku wojny wstąpił do Legionów. Raddy w nogę, został zwolniony i dostał posadę profesora literatury polskiej w tem gimnazyum, gdzie uczył także ojciec Wandy.

Borowicki wyczuł odrazu w młodym koledze pod chropawą powłoką duszę wrażliwą, prawie szlachetną i ocenił należycie wartości umysłowe Rudy.

Tych dwóch ludzi, pomimo różnicy wieku, łączyły poglądy na świat i ludzi. Obaj mieli o rzeczach sądy trzeźwe i praktyczne, ale na idealistycznej podstawie oparte.

Obaj szli twardym torem pracy zarobkowej, nie tracąc jednak z oczu celu, który jak świetna gwiazda daleka, rozświetlał szarą powszedniość codziennych zabiegów.

Tylko starszy więcej miał już w sobie sceptyzmu, częściej przychodziły na niego chwile zniechęcenia, rzadziej wybuchał i na niejedno odpowiadał pobłażliwym, zrezygnowanym uśmiechem. A młodszy, natura silna i twarda w postanowieniu, burzył się, prężył ramiona do czynu i... ostro krytykował.

Nieraz też sprzeczali się zawzięcie, ale ostatecznie zawsze dochodzili do porozumienia, bo założenia ich były jeżeli nie identyczne, to w każdym razie podobne.

Pewnego dnia Borowicki zaprosił swego młodego przyjaciela na kolacyę. Michał Ruda ujrzał wówczas po raz pierwszy Wandę.

— — — — — — — — — — — — — — — —

Nie kleiła się jakoś tego wieczoru rozmowa u Borowickich.

Wanda była smutna i milcząca, matka jej najwidocznie zakłopotana, a Ruda dziwnie roztargniony.

Jeden Borowicki usiłował z początku podtrzymywać dyskusyę, bo taka gawęda swobodna i szczera stanowiła dla niego wytchnienie po ciężkiej, obecnie zdwojonej i potrojonej pracy. Wkrótce wszakże i jemu smutek, malujący się na twarzy starszej córki odebrał humor i werwę.

Z pod nastroszonych brwi rzucał spojrzenia to na Wandę, to na siedzącego naprzeciw niej i wpatrzonego w nią Michała.

Chwilami w oczach profesora ciemno-błękitnych, zmęczonych, ładnie oprawnych zapalały się ciepłe iskierki. Zdawało się w takiej chwili, że promieniami oczu pragnie połączyć te dwie głowy: klasycznie piękną, subtelną w rysunku i wyrazie dziewczęcą i mocno rzeźbioną męską. Rychło jednak posępniał, przecierał ręką czoło i gniotąca troska przeglądała się w jego rozumnie patrzących źrenicach.

Ruda po kolacyi niedługo pożegnał się i odszedł.

Po jego odejściu ojciec i córka zostali przez chwilę sam na sam, bo Borowicka układała młodsze dzieci do snu.

Borowicki palił papierosy jeden za drugim i nieznacznie obserwował Wandę.

— Wanduś... — zaczął.

— Co tatku?

— Co tobie, dziecinko?

— Nic, tatku.

— Pomizerniałaś...

— To się tylko tak tatusiowi wydaje.

Ojciec pokręcił głową.

— Zagraj mi coś Wańdziu, jakoś zaniedbujesz teraz muzykę.

Wanda wstała posłusznie, wyszła do sąsiedniego pokoju, gdzie znajdował się fortepian i za chwilę z pod jej palców popłynęły dźwięki Szopenowskiego „Mazurka":

„Jego dotąd niema
A duszyczka roi,
Ciągle jak zaklęty
Przed oczyma stoi..."

Borowicki wsparł głowę na ręce, słuchał i dumał. Zamyślił się o czemś tak głęboko, że zapomniał o papierosie, z którego popiół szeroką smugą rozsypywał się po obrusie.

Ocknął się dopiero wtedy, gdy do pokoju weszła żona i zaczęła zbierać ze stołu talerze, cukiernicę, koszyk z chlebem.

Mąż podniósł głowę i spojrzał na nią:

— Zosiu!...

— Co, mój drogi?

— Czy ty słyszysz, jak Wandzia gra?

Borowicka zrobiła zdziwioną minę.

— Oczywiście, że słyszę. Nie rozumiem tego pytania...

— I nic cię specyalnie w dzisiejszej grze jej nie uderza?...

— Gra prześlicznie, jak zawsze!... Ona ma prawdziwy, wielki talent — rozpromieniła się dumą — a kiedy gra, duszę swoją wlewa w muzykę...

— Otóż to właśnie!... I ty nie słyszysz, że dzisiaj ta dusza jej... płacze... Ona nam nie powie... nie przyzna się, że czuje się nieszczęśliwą, ale fortepian skarży się za nią...

Borowicka opuściła ręce na gospodarski, perkalowy fartuch. Przez chwilę stała w milczeniu.

Wanda grała ciągle. Tony drgały, rozsypywały się w powietrzu coraz rzewniejsze, coraz smutniejsze.

To już nie tylko artystka utalentowana pieściła słuch dźwiękami instrumentu, to cierpiąca kobieta spowiadała się ze swych obaw, tęsknot i żalów.

Macierzyńskie serce pani Borowickiej ścisnęło się boleśnie.

Wańdzia, jej dobra, piękna Wańdzia, cierpi... jej ukochana „starucha".

— Dlaczegóżby miała czuć się nieszczęśliwą? — szepnęła wahająco — Czasy są ciężkie... dziecko wrażliwe, przeczulone, aleź przecie...

— Zosiu, czyś ty, ty doprawdy ślepa?! Czy nie widzisz co się dzieje?! Czas najwyższy z tem skończyć!...

— Istotnie należałoby jakoś ten ślub przyspieszyć... Możeby Kazimierz tymczasem, dopóki nie habilituje się, przyjął posadę profesora w gimnazyum... Muszę z nim o tem pomówić...

Borowicki wpatrzył się w żonę z taką miną, jakby sam, nie wiedział dobrze czy się ma śmiać, czy irytować.

— Nie! Zaiste, że z kobietami to czasem dogadać się trudno, a zwłaszcza jak chodzi o gładkiego lalusia... Doprawdy, Zośka, wiem żeś baba nie najgłupsza i ty nie widzisz tego, że ten piękny gagatek nie myśli ani o żadnej posadzie, ani o ślubie... Przynajmniej nie o ślubie z naszą Wańdzią!...

Żona przybladła i wystraszone spojrzenie rzuciła na męża.

(Ciąg dalszy nastąpi)



Ogonki krakowskie: Ogonek „mączny" amerykański przed sklepem miejskim na placu Jabłonowskich.

Krwawe gwałty czeskie.

Czesi w walce swej z Polakami nie cofają się przed żadnym gwałtem barbarzyńskim, przed żadnem choćby najokrutniejszem morderstwem. Poprostu wierzyć się nie chce, do jakiego ohydnego zdziczenia dochodzą żołdacy czescy.

W ataku na Kisielów pod Skoczowem dostało się szesnastu polskich rannych żołnierzy do niewoli czeskiej. Jeńców tych Czesi w straszny sposób mordowali lub palili.

Następnego dnia wojska polskie odzyskały tę miejscowość i odbiły w ten sposób ofiary barbarzyństwa. Po przeprowadzeniu śledztwa sprowadzono zwłoki do Skoczowa, gdzie przez trzy dni ciała pomordowanych wystawiono na widok publiczny, poczem odbył się pogrzeb.

Zdjęcia ofiar razem z dowodami wręczyła delegacya polska misyi koalicyjnej w Cieszynie. Straszna ta bowiem zbrodnia czeska musi być odpowiednio ukarana.

Na odpowiedzialnem stanowisku.

Osoba majora Krzaczyńskiego nie jest obcą mieszkańcom Krakowa.

Ojciec karpackiej żelaznej brygady, ciężko ranny w początkach roku 1915 po wyleczeniu się pełnił odpowiedzialną służbę komendanta placu we Lwowie i Krakowie. Kraków pamięta jego stanowcze wystąpienie przeciw austryackiej komendzie twierdzy, za ogłoszenie przez organ tej komendy „Deutsche Krakauer Zeitung" notatki ubliżającej czci Legionów polskich. Wystąpienie to odpokutował dwutygodniowym aresztem.

Władze twierdzy nie mogąc ugiąć polskiego komendanta placu postanowiły go złamać i uzyskały w ministerstwie obrony krajowej w Wiedniu karne usunięcie majora Krzaczyńskiego z Krakowa.

Szerokie sfery społeczeństwa krakowskiego wynagrodziły temu dzielnemu oficerowi szykany austryackie, gotując mu gorące pożegnanie.

Przeniesiony do Warszawy po pamiętnych lipcowych przejściach, został z wojska wydalony bez prawa noszenia munduru i internowany w Benjaminowie.



Na odpowiedzialnem stanowisku: Major W. P. Krzaczyński, komendant placu w Warszawie.



Krwawe gwałty czeskie: Trupy pomordowanych przez Czechów żołnierzy Polaków w Kisielowie

Po wyjściu z obozu jeńców oddał się cały na usługi gotującego się do czynu P. O. W., równocześnie pod pretekstem legalnej roboty „samopomocy koleżeńskiej“ organizował rozbitych, wracających z rozmaitych obozów i frontów oficerów i żołnierzy legionowych w Zrzeszenie b. wojskowych polskich, którego był prezesem.



Przyjaciel Ukraińców: Metropolita lwowski ks. Andrzej hr. Szeptycki

Dziś major Krzaczyński pełni służbę zastępcy komendanta miasta i komendanta placu w Warszawie.

Przyjaciel Ukraińców.

Niepoślednią rolę w obecnym zatargu politycznym we wschodniej Galicyi odgrywa metropolita ruski hr. Andrzej Szeptycki. Jest on synem hr. Jana Szeptyckiego, posła jaworowskiego na Sejm galicyjski oraz Zofii hr. Fredrówny, córki komedyopisarza Aleksandra. Godność metropolity lwowskiego piastuje od roku 1900. Ród Szeptyckich jest prastarą szlachtą ruską pochodzącą od bojarów ruskich. Nazwisko swe wywodzą od dóbr Szeptyce, nadanych im w XIII wieku przez ks. Lwa halickiego.

Postać obecnego metropolity lwowskiego przesuwa się jakby jakiś cień po przez ostatnie kilkanaście lat na tle stosunku polsko ukraińskiego. Mimo iż pochodził z matki Polki, nie czuł w stosunku do Polaków prawdziwego braterstwa. Zamiast działać kojąco na stosunki w Galicyi wschodniej podniecał antagonizmy. Jeszcze przed wojną stanowisko metropolity Szeptyckiego w stosunku do Polaków zawsze było dwuznaczne i nieszczere. W czasie wojny zaś zupełnie przeszedł na stronę szowinistów ukraińskich, z którymi współdziałał.

W czasie obecnych walk z Ukraińcami wezwany przez arcybiskupa Bilczewskiego do podjęcia misyi pośrednika między walczącymi, odmówił wykrętnie. Zachowanie się jego stało się wreszcie tak niejasne, że władze polskie widziały się zmuszone internować go we Lwowie, a przeprowadzona rewizya jego papierów wykryła szereg kompromitujących go dokumentów.

W ostatnich dniach pisma doniosły, że metropolita Szeptycki ciężko zachorował.

O ile chodzi o stosunek do Polaków, to nie można oprzeć się przykremu wrażeniu niewdzięczności, jakiej metropolita Szeptycki stał się winnym w stosunku do Polaków. Kiedy bowiem Moskale wywieźli go z Galicyi jako podejrzanego o austrofilizm, ze strony polskiego społeczeństwa czyn ten spotkał się z gorącym protestem. Powracającego z niewoli witano z całą serdecznością. Dzisiaj Polacy muszą niestety głęboko odczuć brak poczucia braterstwa, jakie w ostatnich czasach metropolita Szeptycki okazał.

Podajemy jego podobiznę w niniejszym numerze.



Ogonki krakowskie: Ogonek „niciany“ na rynku przed sklepem firmy Porębski i Zimler.



Zjazd górników w Krakowie: Grupa uczestników Zjazdu górników.

Leon Daudet.

Serce i nieobecność.

(Z francuskiego tłom. Marya Jadwiga Migowa).

5

Pani Lebien czuła się głęboko dotkniętą i obrażoną. Podniesionym głosem odrzuciła:

– Ból po stracie męża odebrał ci widocznie rozum. Wiesz, że nie mam na świecie nikogo prócz ciebie i że wszystko, co posiadam do ciebie należy. Niestety, posiadam tak mało! Nic więc dziwnego, że troszczę się o twoje dochody i mojego wnuka. Pomówimy jeszcze o tej kwestyi, kiedy się uspokoisz trochę.

Majestatycznym krokiem pani Lebien wyszła z pokoju. Za chwilę można było słyszeć, jak wyładowywała swój zły humor na biedną Fanny.

Od godziny jedenastej Marion, ubrana w ciemno fioletową domową suknię, w której jej było prześlicznie, śledziła wzrokiem wskazówki zegara. Klaudyusz mógł przybyć już lada chwila, a ona oczekiwała czegoś niezwykłego od tej wizyty.

Nigdy dotychczas nie znajdowała się w stanie takiego gorączkowego podniecenia. Zdawało się jej, że ma dwa serca, jedno z nich należy do przeszłości, drugie rwie się drżące i wzruszone ku przyszłości,

Nareszcie ozwał się dzwonek i Fanny oznajmiła pana doktora Etiennant.

Klaudyusz Etiennant był mężczyzną przystojnym o pięknej postawie. Miał jasną, lekko siwiejącą brodę, regularne rysy i oczy żywe, młode, jasne, wyraziste. Jego szpakowata czupryna świadczyła, że pożegnał się już dawno z pierwszą młodością.

Kiedy mówił, miał w głosie tony silne, akcentował dobitnie końcówki. Bardzo zdolny i intelligentny, nie ograniczał swego horyzontu umysłowego na swej specyalności, ale rozwijał się wszechstronnie. Sztuka interesowała go prawie tyle ile medycyna. Był to wzięty lekarz z duszą artysty.

W młodości popełnił błąd życiowy zaślubiając dla pieniędzy brzydką dziewczynę, której nie kochał.

Stąd na egzystencyę jego – poza tem pogodną, a nawet świetną – padał stały cień.

Córkę swoję Jankę ubóstwiał i pragnął, aby ona poszła w zupełności za wyborem serca. Miał to być dla niego rodzaj odwetu.

Duże doświadczenie życiowe nie zniszczyło w jego duszy podkładu sentymentalizmu, który objawiał się w szlachetnych porywach

– Och! Biedna pani Marion! – zawołał, wchodząc.

Wyciągnął ku niej obie ręce. W pierwszej chwili miał ochotę przyciągnąć ku sobie tę śliczną kobietę i po bratersku ucałować ją w oba policzki.

Ale promieniowało od niej coś takiego, co go onieśmieliło. Uścisnął tylko mocno i długo delikatne jej palce, jej małe rączki porysowane niebieskiemi żyłkami.

Skutek tego współczucia był taki, że młoda kobieta zalała się łzami, co jej sprawiło jakąś dziwną rozkosz.

On zaś chętnie spijałby u źródła te lśniące kropelki, oddałby jej, aby ją pocieszyć swój majątek i życie.

Zaczął jednak w rozsądny sposób wypytywać i pocieszać ją banalnymi frazesami.

Ta niezgrabna taktyka wywołała na rozchylone wargi smukłej blondynki blady, przelotny uśmiech, przypominający tęczę po burzy.

Marion szepnęła:

– O! jaki pan jesteś dobry... Jak ja...

O mało co nie wyrzekła: „Jak ja pana kocham!“ Nie wypowiedziała tych słów, ale można je było odgadnąć z intonacyi. Marion odczuła to i nagle zaczerwieniła się. a potem zbladła,

Nastąpiła chwila milczenia, w czasie której pociąg wzajemny był tak silny, że równocześnie przysunęli się bliżej ku sobie.

Klaudyusz ośmielił się o tyle, że położył rękę drżącą lekko na ramieniu swej towarzyszki i wyczuł przez materyę sukni pełny, krągły kształt, tętniący gorącą krwią.

Jeszcze sekunda i padli sobie w objęcia. Marion uwolniła się z uścisku łagodnym ruchem, usiadła na krześle i zniewoliła Klaudyusza, aby siadł obok niej.

To im przywracało trochę swobody i nadawało pozory przyjacielsko rozmawiających dobrych znajomych. W rzeczywistości jednak ani on ani ona nie zdawali sobie dobrze sprawy z tego, co mówią ich usta, bo dusze rozśpiewały się pieśnią nad pieśniami, potężniejszą niż wszystkie głosy rozsądku i rozwagi.

Marion opowiadała szczegółowo swą wizytę u Grantouvra, informując Klaudyusza, w jakich okolicznościach Ksawery zaginął.

Klaudyusz wspomniał o udogodnieniach, jakie dają niekiedy międzynarodowe stosunki lekarskie. zwłaszcza, jeśli chodzi o poszukiwanie rannych i jeńców. Zaproponował, że zwróci się do jednego ze swych kolegów hiszpańskich, do jednego Holendra i do trzech Szwajcarów. Poruszy niebo i ziemię. Choć czuje wstręt do korzystania z usług tych przeklętych Szwabów, postara się jednak przy pomocy neutralnych zawiadomić Weinhardta z Berlina i Holmera z Drezna, z którym niejednokrotnie spotykał się na międzynarodowych kongresach lekarskich.

Z pewnością te starania będą uwieńczone pomyślnym rezultatem.

Oboje gorączkowali się tą hypotezą, która w najgłębszych tajnikach ich dusz budziła przerażenie.

Ta szczera hipokryzya sprawiała im ulgę, rozgrzeszała po części.

W końcu orzekli oboje, że muszą jak najprędzej zobaczyć się i to potajemnie.

Marion pierwsza wpadła na ten pomysł.

– Naznaczmy sobie jakieś miejsce, gdzie moglibyśmy spotkać się i bez przeszkód omówić wyniki naszych poszukiwań, nie denerwując niepotrzebnie naszego otoczenia złudnemi może nadziejami.

– Tego samego jestem zdania. Sądzę, że ani pani mama, ani teściowa, ani Janka, ani Franciszek, ani Grantouvre...

– Ani moja droga Ginetta, tak bardzo wrażliwa...

– Ani nawet Ginetta nie powinna być wtajemniczoną. To konieczne!

Powtórzyła:

– To konieczne... – i fala wewnętrznej radości opłynęła to kłamstwo. O, jakże słodko jest spiskować z tym, kogo się kocha!

– To takie proste...

Klaudyusz przyciszył głosem.

– Codziennie wieczorem wychodzą ze szpitala o godzinie szóstej. Idę ulicą Demours, poczem kieruję się albo przez ulicę Nieth albo przez ulicę de Courcelles. W poniedziałek, środę i piątek będę szedł przez ulicę Nieth, we wtorek, we czwartek i w sobotę przez ulicę de Courcelles. Jeżeli pani będzie się czuła zbyt przygnębioną. to może się pani tam znaleźć także... niby przypadkiem.

– Dobrze... – zgodziła się bez wahania Marion. – Gdyby mi coś przeszkodziło, to w każdym razie dni i ulice pozostają bez zmiany.

I dorzuciła z figlarnym trochę uśmieszkiem:

– Ale wie pan, może to źle, iż tak się chcemy ukrywać.

– Skądże znowu? Przecież to chodzi o Ksawerego!

– Drogi Ksawery – wciąż stawał się droższym dla Marion – jeżeli Bóg da, że powróci, to pierwszy będzie się śmiał z tych niewinnych podstępów. On tak pana kochał, szczycił się pańską przyjaźnią. tak jak gdyby pańskie genialne zdolności rzucały jakiś blask na niego.

„Pańskie genialne zdolności“. Te słowa zabrzmiały Klaudyuszowi w uszach jak pieszczota intellektualna i moralna.

Nie miał siły dość by wstać nareszcie i odejść. Nic też nie odrzekł. Westchnął tylko głęboko na wspomnienie wiernego przyjaciela młodości.

W tej chwili uprzytomnił sobie z przeraźliwą jasnością, że już od kilku lat ogniwem, które go łączyło z tym przyjacielem, to była jego śliczna żona

Przywykły do refleksyi powtarzał sobie:

– Oto znalazłem się na pochyłości niebezpiecznej. Trzeba się trzymać by się nie ześliznąć.

Ten silny, rozumny mężczyzna nie zdawał sobie sprawy z tego, że już mu się pośliznęła noga i że stacza się z zawrotną szybkością.

W dwie minuty później nadeszła Ginetta w towarzystwie córki i Franciszka.

– Uprzedziłeś mnie – rzekła do męża – ja się spóźniłam przez naszych narzeczonych. Oni mieli sobie wiele do powiedzenia.

Franciszek miał oczy zaczerwienione, jakby dużo płakał. Czcił i kochał swego ojca. Uważał go już za nieżyjącego. W młodem sercu wzbierało pragnienie, by się pomścić na jego zabójcach,

Janka, zgrabna brunetka, równie urocza, jak brzydką była jej matka, spoglądała na niego z pełnym tkliwości podziwem, do którego przyłączała się trwoga.

Napróżno powtarzał jej:

– Powrócę. zobaczysz...

Ona wszakże nie mogła jakoś nabrać absolutnej pewności. Chciała jednak okazać się mężną. Wojna uszlachetnia związki miłosne, rozwijające się pod ich ciemnemi skrzydłami.

Ginetta, widząc swą przyjaciółkę przygnębioną bólem, a nie przeczuwając kompensaty, stała się miodowo-słodką. Domyślała się, że wdowa wpadnie w kłopoty pieniężne, a to ją uczyni od Etiennantów zależną. Ta perspektywa wcale jej dogadzała.

Wkrótce spostrzegła, że Klaudyusz ma jakąś dziwną minę. Zapytała go więc półgłosem:

– Czy ci się dzisiaj coś nie powiodło w szpitalu?

– Bynajmniej. Skąd ci to przyszło na myśl?

– Masz takie zakłopotane spojrzenie.

– To naturalne.. ten bohaterski Ksawery..

Wzruszyła ramionami, jakby chcąc powiedzieć: „wojna to wojna“. Mąż przyjaciółki obchodził ją bardzo mało.

Wkrótce przybyła pani Lebien z fizyognomią ułożoną uroczyście w zastosowaniu do okoliczności.

Starsi jęli w dalszym ciągu opłakiwać ewentualną śmierć Ksawerego, a młoda para rozmawiała półgłosem.

– Biedny ojczulek – rzekł Franciszek – nie przeczuwał swego losu. Odjechał pewny, że wojna skończy się prędko zwycięstwem. Jeszcze zdaje mi się, że go słyszę, jak mówi, że za kilka tygodni Niemcy zapłacą swoje rachunki z procentem. A jednak to właśnie przekonanie, które podzielały setki tysięcy ludzi, stworzyło zwycięstwo nad Marną.

– Słuchaj, Franku – odparła Janka – on powróci. Nikt z was tego się nie spodziewa. To wydaje się nieprawdopodobnem, a jednak ja wierzę, że wróci. Nie mówię ci tego po to, by cię pocieszać chwilowo, ale ja wiem, ja czuję, że on wróci.

Janka wierzyła święcie w przeczucia i rzeczywiście chwilami miała taki wyraz oczu, jakby widziała przed sobą rzeczy dalekie, dla innych niedostrzegalne.

Jej narzeczony, który to u niej zaobserwował, spojrzał na nią z wdzięcznością i westchnął:

– Oby cię Bóg wysłuchał!

Oboje mieli wiarę gorącą, niezamąconą sceptyzmem, nie zatartą obojętnością.

Pani Lebien grzebała swego zięcia z naiwnym pośpiechem. Twierdziła stanowczo, że te wszystkie historye o żołnierzach zaginionych, uznanych za zabitych, a którzy potem odnajdywali się jako żywi. są zmyślonemi bajkami. Ani jeden prawie z tych wypadków nie jest autentycznym. Każdy, kto znał zapał Ksawerego i jego pogardę dla niebezpieczeństwa nie mógł wątpić o tem, co się stało.

Pani Lebien była już w pewnym magazynie mód, gdzie dało się jeszcze nabyć żałobne suknie po cenach prawie że przedwojennych. Ożywienie leciwej damy było tak wielkie, że Ginetta gryzła wargę, aby się nie roześmiać, a Franciszek czuł, że rumieniec oburzenia zalewał mu czoło aż po korzenie włosów.

Potem bezpośrednio przeszła pani Lebien do sprawy Hetteleta, który dzisiaj ukłonił jej się wprawdzie. ale z nie dość wielkim respektem. Z trudnością powstrzymała się, by mu nie pokazać języka.

Klaudyusz patrzył na Marion. Marion patrzyła na Klaudyusza. Skoro jednak zbiegały się ich spojrzenia natychmiast odwracali wzrok.

– – – – – – – – – – – – – – – – –

Fabius Grantouvre nie próżnował tymczasem. Zaprosił do swej pracowni dwóch znanych handlarzy obrazów. Fixelina, który w rzeczywistości zwał się Fixlein i Rotbońskiego, aby im sprzedać kilka ze swoich najpiękniejszych płócien. Spodziewał się osiągnąć z tej sprzedaży sto tysięcy franków, dla których miał już z góry przeznaczenie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Przedstawiciele koalicyi w Poznaniu.

Dnia 23 lutego przybył do Poznania francuski generał Dupont celem podjęcia kroków wstępnych odnośnie do polsko niemieckiego rozejmu.

Przedstawiciela koalicyi powitali na dworcu reprezentanci Rady Naczelnej Ludowej ks. Adamski i p. Poszwiński, poczem w obecności generała Dupont odbyło się zaprzysiężenie nowo sformowanych oddziałów polskich i wręczenie im sztandaru.

Po załatwieniu wstępnych spraw generał Dupont opuścił Poznań, a dalsze rokowania z Niemcami prowadzi pełna misya koalicyjna przybyła z Warszawy.





Przedstawiciele koalicyi w Poznaniu:

Generał Dupont odbywa przegląd wojsk.

Przedstawiciele Pozn. Rady Ludowej ks. Adamski i p. Poszwiński.

Tragiczna śmierć oficera polskiego.

(Do ilustracyi na str. 2.)

Podczas ostatnich walk, jakie rozgrywały się dnia 17 lutego na terenie Zboisk koło Lwowa, poległ tragiczną śmiercią 26 letni porucznik czwartego pułku piechoty Legionów polskich Jakób Lemek.

Śmierć jego to przykład niesłychanego zdziczenia żołnierza ukraińskiego, albowiem ś. p. Lemek otrzymał strzał w głowę za dobre serce, za miłosierdzie nad rannym nieprzyjacielem.

Albowiem gdy podczas zaciętych zmagań się padł ranny podoficer ukraiński i linia ataku polskiego zbliżyła się do miejsca, na którem leżał ów ranny Ukrainiec, zbliżył się ku niemu porucznik Lemek i chciał broczącą jego ranę przewiązać.

Wyjął w tym celu własny bandaż, jaki miał w kieszeni, poczem uklęknął nad rannym. W tej chwili podoficer ukraiński wyciągnął nagłym ruchem rewolwer z kieszeni i strzelił do oficera polskiego.

Strzał był celny, trafił Polaka w głowę i położył trupem na miejscu.

Wiadomość o śmierci porucznika Lemka wzruszyła do głębi wielu jego byłych przełożonych, przyjaciół i kolegów, którym znany był i ceniony, jako człowiek niepospolitych zalet serca i umysłu.

Cześć Jego pamięci, a spokój przezacnej duszy!

„Ogonki krakowskie".

Zmieniają się obecnie formy rządów, w gruzy padły potężne trony monarsze, znikają z mapy świa towej całe twory państwowe, znikają ludzie, którzy dawniej ster władzy dzierżyli w swoich rękach — tylko „ogonki" krakowskie nie znikają i zdaje się nie prędko znikną.

Przeciwnie przybywają jeszcze nowe, na przykład „ogonek niciany" przed sklepem Porębskiego Długi wąż ludzki, falując i zwolna posuwając się naprzód, czeka godzinami, aby w rezultacie zdobyć po dwie szpulki nici na osobę.

Poważnie co do rozmiarów przedstawiają się także „amerykańskie ogonki mączne".

I nic dziwnego. Mąka „amerykańska" jest pierwszej jakości i choć wydziela się ją tylko w ilości jednego kila na osobę, jednak każdy ciśnie się, stoi, czeka, aby dostać należną porcyę tego „amerykańskiego" specyału.

— Byle tylko mąka nie wyszła! — kłopocą się wyczekujące w „ogonku" kobiety, urozmaicając sobie czas czekania gawędą o plotkach miejskich i nowinach politycznych.

Skoro rozdział mąki amerykańskiej skończy się, nadejdzie kolej na „ogonek cukrowy", który zapewne nie będzie ustępował długością „ogonkom" mącznym i nicianym.

Subskrybujmy polską pożyczkę państwową



Przedstawiciele koalicyi w Poznaniu: Oddziały wojsk polskich zaprzysiężone w obecności generała Duponta.

Kronika tygodniowa.

Pierwszy tydzień wielkiego, czterdziestodniowego postu bez śledzi minął jakoś szczęśliwie, a to właśnie dzięki owej światowej wojnie, która nas nauczyła wszelakiej wstrzemięźliwości i obchodzenia się bez najniezbędniejszych rzeczy. Gdyby była potrwała jeszcze rok, a może i dwa lata, bylibyśmy się wogóle odzwyczaili zupełnie od jedzenia i picia i mogli zrobić potem doskonały interes, produkując się za granicą jako zawodowi głodomory. Nie bylibyśmy zaś narażeni na brudną konkurencyę, gdyż artysta-głodomór, Succi, o ile wiem, już dawno umarł, a przyczyną śmierci było, wedle orzeczenia znawców, nadmierne objedzenie się czemś niestrawnem po ukończeniu czterdziestodniowego dobrowolnego postu.

Nowoczesny głodomór znalazłby się w tem szczęśliwem położeniu, że może się śmiać jeśli przeżył wojenne czasy, z wszelkich niestrawnych rzeczy. Mówią, że struś połyka kamienie i wychodzi mu to na zdrowie, ja pozwolę sobie dodać z własnego doświadczenia, że w tym kierunku zapędziliśmy strusia w kozi róg. Wystarczy tylko przypomnieć sobie wojenny chleb kartkowy, czyli magistracki. lub kiełbasę, sporządzoną z tego, o czem się nawet filozofom nie śniło. Dawniej bigos myśliwski nazywano „tajemnicą w kapuście“, obecnie czemś również tajemniczem stała się kiełbasa.

Ale, ze względu na wielki post, nie powinno się o niej wspominać, by nie robić na nią niepotrzebnie apetytu. Zachęcony kronikarską wzmianką, gotów który z P. T. Czytelników dać się unieść brzydkiej żarłoczności i spróbować kawałek „wiejskiej“ lub „czysto wieprzowej“ i mieć potem zupełnie uzasadnioną pretensyę do kronikarza, a może zażądać odeń nawet i zwrotu kosztów leczenia.

Umartwiamy więc grzeszne ciało i pościmy w dalszym ciągu, nie oglądając się nawet na dyspenzę, bez której dziś każdy bardzo łatwo może się obejść. a to policzonem nam będzie kiedyś, gdy ziemskie strapienia zamienimy na przyjemności wiekuistego żywota, czyli, wziąwszy rozbrat z ziemskiemi, cesarsko-królewskiemi koronami, zaczniemy konpetować o koronę niebieską.

W parze z umartwianiem ciała idzie i umartwianie ducha, a odpowiedniego materyału dostarczają nam pisma codzienne, mające także tylko nasze zbawienie na celu.

Do tego rodzaju tematów należy więc w pierwszym rzędzie polemika o pantalony pana Pantalona z „Kręgu interesów“, które (pantalony!... nie interesy!..) zajęły bardzo poważnie całą falangę teatralników, a nawet ludzi, nic z teatrem wspólnego nie mających, o mały nawet figiel nie były przedmiotem interpelacyi w Radzie miejskiej przy sposobności dyskusyi budżetowej, gdy była mowa o teatrze i stosunkach, jakie w nim panują.

Ponieważ zaś w skład Rady miasta nie wchodzą jeszcze niewiasty, tylko sami przedstawiciele płci tak zwanej brzydkiej, można było nawet o pantalonach pana Pantalona mówić zupełnie otwarcie i swobodnie. A jeśli do omawiania sprawy pantalonowej szukało się odpowiedniej chwili, to właśnie najodpowiedniejszą była dyskusya budżetowa, gdyż gospodarka finansowa naszej reprezentacyi gminnej jest tak wzorową, iż musi doprowadzić do tego, że Kraków, prędzej czy później, musi wyjść... bez pantalonów!

Te pantalony, o których teraz mowa, to jednak tylko idealne, pantalony zaś pana Pantalona były konkretne, miał je bowiem na sobie, ale, ponieważ nie były stylowe, dotknęło je pióro krytyka teatralnego, na co znów nie pozostała dłużną odpowiedzi dyrekcya teatru i ogłosiła w ich obronie specyalny komunikat. Znawcy sztuki, artyści, przyjaciele teatru i cała falanga neutralnych tak sobie jednak te pantalony wzięli do głowy, że choć sprawa już przebrzmiała, w bieżącym jeszcze tygodniu byłem świadkiem dyskusyi dwu artystów na ten temat. Wywody swe popierali rysunkiem, a ponieważ obradowali przy szklance piwa w handelku, zamalowali cały stół i doszli wkońcu do przeświadczenia, że w samej rzeczy pantalony owe były nie stylowe, co musi być zapisanem na karcie *minusów* hipoteki teatralnej w kulturalnem znaczeniu.

— Gdzieś tam w Pipidówce — mówił jeden z nich — może sobie Pantalon wyjść na scenę nawet i bez pantalonów, ale na stołecznej, a do takich zaliczam Kraków, powinien był mieć na sobie stylowe!... I zupełnie dobrze uczyniła krytyka, zwracając uwagę na ten, na pozór drobny szczegół, ale przecież nie pozbawiony głębszego znaczenia!

— Zupełna racya! — odpowiedział na to drugi. — Podzielam w zupełności zdanie pana profesora... Wobec tego może napijemy się jeszcze po jednem piwku...

I na tę propozycyę również się zgodzono.

Pantalony pana Pantalona, dlatego właśnie, że nie były stylowe, narobiły wiele hałasu i kto wie, czy się jeszcze kiedy nie odezwą i w ręku, a raczej w ustach którego z radców miejskich, toczącego walkę z obecnymi stosunkami teatralnymi, nie staną się taranem, przeznaczonym do burzenia murów krakowskiego przybytku pani Melpomeny.

A kto temu winien?... Jeden jedyny pan Pantalon i jego pantalony!

Gdybym ja był członkiem Rady miasta, postawiłbym na prośbę jednego z mych znajomych, który także nie jest radcą miejskim (ale nim być może!...) wniosek, aby na naszym teatrze, zamiast napisu „Kraków — narodowej sztuce“, umieszczać bodaj od czasu do czasu inny, np. „Kraków — podkasanej Muzie“. Mój znajomy wybrał się do teatru na zakończenie karnawału a choć spodziewał się wesołości, świętym zaś bynajmniej nie jest, to, co tam widział i słyszał, przeszło jego najśmielsze oczekiwania wskrzeszając dawno zapomniane tradycye orfeum z ulicy Zielonej.

To jednak do rzeczy nie należy. Zachciało mu się wesołości, to ją miał, a później jeszcze na nią narzekał.. Tacy to są ludzie!... Nic im nie dogodzi.

Ten epizod uważam jako kronikarskie „nadesłane“ i żadnej zań odpowiedzialności nie przyjmuję. Sam nigdzie nie byłem, ostatki spędziłem przykładnie w domu, na łonie rodziny. Przeczytaliśmy głośno przepis. jak się smaży pączki i kruche ciasto, łyknęliśmy ślinkę, popiliśmy wodą i poszliśmy spać, choć w noc ową różni wojenni milionerzy w samej rzeczy bawili się bardzo ochoczo, aby — jak sami potem mówili — mieć za co pokutować w czasie wielkiego postu.

Drugim wielkopostnym tematem, obok pantalonów pana Pantalona, to ogłoszenia kinowe, których pełno w naszych pismach codziennych, a autorzy ich wysilają się, aby z nich zrobić jak najsensacyjniejszą sensacyę, czytający zaś w samej rzeczy umartwia swego ducha i klnie, na czem świat stoi, bo dopiero na samym końcu artykułu przekonał się, że to tylko reklama dla jakiegoś filmu. mającego ujrzeć światło „wieczorne“ w którymś z krakowskich kinoteatrów.

I tego jednak było Krakowowi jeszcze mało. wobec tego urządzono zapasy atletów i uderzono tak głośno w trąbę reklamy, że wątpić należy, czy donośniejszym będzie głos owej archanielskiej trąby, mającej budzić zmarłych na Sąd ostateczny. Wobec Macistesa poszedł w kąt Wilson i, kto wie, czy właśnie z tego powodu, akurat w tym czasie, nie wyjechał do Ameryki, jakby przeczuwając, że uwaga publiczna będzie w inną zupełnie stronę zwrócona.

„Czy znacie i widzieliście Macistesa?“... wyczytałem ogromnemi literami w jednem z pism, a ponieważ go nie znam i nigdy dotąd nie miałem przyjemności oglądać, czytam, aby się dowiedzieć, kto to taki.

Byłem pewny, że to może jaka nowa gwiazda na politycznym horyzoncie, tymczasem przekonuję się że to sobie siłacz, który przyjechał do Krakowa na gościnne występy.

Co jednak na pewne osobistości działa umartwiająco, dla drugich może być podnieceniem. Tak było i w tym wypadku. Zapasy atletów mają w Krakowie ogromną moc fanatycznych zwolenników, których ideałem są rozmaite „chwyty“, a wprost w ekstazę wprawia ich „położenie przeciwnika na obie łopatki“, tylko, broń Boże, by miał być nim któryś z ulubieńców publiczności!... Taki musi być niezwyciężony...

Niechaj jednak nie myśli kto przypadkiem że tylko takie, jak wyżej wspomniałem, artykuły mogą działać w wielkim poście umartwiająco na naszego ducha Do tego samego celu mogą służyć i politycznej treści, zwłaszcza teraz, gdy jesteśmy od świata odcięci, a ta odrobina wiadomości, jaka do nas dochodzi przy pomocy telegrafu iskrowego, jest ogromnie niejasna i niedokładna.

Na polityczne wiadomości jest zaś każdy nadzwyczaj łakomy i jadłby je, jak to mówią, pełną łyżką. Ot, weźmy na uwagę tylko taki mały przykład. Dotąd czytaliśmy i słyszeli ciągle, że sprawa polska jest na najlepszej drodze, że Wilson chce. aby Polska była silną. tosamo powiedział Pichon i Lloyd George (*contra votum* złożyli jedynie Masaryk i Petlura...), że więc możemy być spokojni i czekać cierpliwie na zrealizowanie swych pragnień i nadziei. Tymczasem czytam wczoraj w jednem z pism artykuł pod tytułem: „Pomyślny zwrot w sprawie polskiej“...

Zdrowy rozsądek powiada. że, jeśli gdzie następnie „pomyślny zwrot“, tam przedtem musiało być źle, a my o tem nic dotąd nie wiedzieliśmy. Albo więc było źle, więc mógł być ów „pomyślny zwrot“, albo, jeśli było dobrze, a tak podobno być miało. bez owego „zwrotu“ mogło się zupełnie dobrze obejść.

Albo jednego dnia czytamy, że rozwiązanie kwestyi polskiej nastąpi już w najbliższym czasie w Paryżu, w drugim zaś dniu czytamy w tymże dzienniku, że decyzyi oczekiwać należy... w Warszawie. Gdyby więc kto chciał się w tym historycznym momencie znaleźć na miejscu, gdzie to ma nastąpić, jest w kłopocie, bo nie wie, czy ma jechać do Paryża czy też do Warszawy, zaraz teraz, czy też może dopiero zaraz potem..

Ktoby jednak chciał całkiem gruntownie umartwić swego ducha, odpokutować za wszystkie grzechy już popełnione i mieć jeszcze zaliczkę na przyszłość, by módz grzeszyć bezkarnie ten niech chodzi pilnie na posiedzenia Rady miejskiej zwłaszcza zaś, gdy na porządku dziennym jest dyskusya budżetowa. Tam może się nauczyć, jak się gospodarować... nie powinno, jeśli się nie chce dojść do zupełnej ruiny.

Dyskusya budżetowa ma zaś to do siebie, iż w ciągu jej porusza się wszelkie sprawy, z budżetem nawet nic wspólnego nie mające, a każdy z radców, zwłaszcza młodszych, uważa dla siebie za punkt honoru, by głos zabrać. Starzy są innego zdania, powiadając sobie „myśmy się już wygadali, teraz kolej na młodszych...“

Słyszy się więc różne różności i nieraz człowiekowi aż włosy dęba stają na łysinie... (przynajmniej stanęłyby, gdyby je miał..) a najczarniejsza z czarnych melancholii kąsa go po łydkach, bo, zamiast aby było lepiej, z roku na rok i z dnia na dzień dzieje się coraz gorzej, a ta biedna gmina stała się tylko dojną krową, przeznaczoną na usługi poszczególnych jednostek lub też całych stronnictw, z zupełnem pominięciem interesów najszerszego ogółu Gospodarka i porządki miejskie weszły już zresztą w przysłowie, więc chyba w samej rzeczy musi tak być, a nie inaczej.

Radcy miejscy wywodzą gorzkie żale, a gorzko robi się też na sercu i słuchaczowi, a coś go też zaraz zaczyna łaskotać w okolicy kieszeni, co jest niechybnym znakiem, że on za to wszystko zapłaci wraz z innymi obywatelami rozszerzonego Krakowa.

Nie narzekajmy jednak. Kraków jest jeszcze stosunkowo w lepszej skórze, niż inne miasta, ma bowiem w gronie swych mieszkańców mężów sprawiedliwych, którzy nadają się do tego, aby im można było bez obawy powierzyć losy ojczystego grodu, to jest szukać między nimi kandydatów na prezydenta i ojców miasta. W daleko gorszem położeniu znalazł się Piotrków, gdzie aby obsadzić fotel prezydyalny, musiano rozpisać zewnętrzny konkurs. A taki „konkursowy“ ojciec miasta, może go nawet i nie znający, często bardzo bywa nie ojcem lecz ojczymem, choć nimi lubią być i bywają nawet często i właśni współobywatele.

To szukanie sprawiedliwych przypomina bardzo znaną z biblii historyę o Locie.

Pan Bóg, zagniewany na mieszkańców Sodomy i Gomory, którzy trudnili się zawodowo paskarstwem i zdzierali skórę z swych współbraci, postanowił ukarać przykładnie grzeszników i zniszczyć doszczętnie oba te gniazda lichwy i wyzysku Jeden jedyny Lot miał wyjść cało wraz z swą rodziną, gdyż był, choć także kupiec z zawodu, człowiekiem uczciwym.

Kazał mu tedy Pan Bóg. aby spakował manatki i wyniósł się, gdzie go oczy poniosą, gdyż ma zamiar wytracić paskarskie plemię. Lot się tem ogromnie zmartwił bowiem miał liczne pretensye do swych współobywateli, prosił też Stwórcę o pardon. Ten się na to zgodził, ale pod warunkiem, jeśli Lot wskaże mu w mieście pewną liczbę mężów sprawiedliwych.

Lot się zobowiązał, znając swoich, do wyszukania dziesięciu, ale napróżno przez cały dzień wertował „Księgę adresową“, nie mógł się ani trzech doliczyć!... Wobec tego dał za wygraną, zlikwidował co prędzej swe interesy, zabrał co się dało i ruszył z rodziną na ewakuacyę, niestety piechotą, gdyż wówczas nie znano jeszcze kolei żelaznych i przyjemności podróżowania wagonami „40 Mann oder 6 Pferde“.

Ale Lot miał szczęście. W drodze, choć to było surowo zakazane. oglądnęła się poza siebie jego dozgonna towarzyszka, pani Lotowa (podobno zostawiła w pospiechu w domu nową parasolkę!...) i za karę zamienioną została w słup soli A trzeba wiedzieć, że już wówczas, choć sól nie była jeszcze monopolem rządowym i nie zostawała w zarządzie Wydziału Krajowego, dawał się bardzo często odczuwać jej brak, a przed sklepami z nią widywane już „ogonki“. (Dziś dzieje się podobnie. W biurze solnem urzęduje cała moc urzędników, ale w składach soli brak z zasady, choć Bochnię i Wieliczkę mamy pod bokiem!...).

Otóż Lot zrobił na całej tej historyi kokosowy interes, nie tylko bowiem pozbył się swej starej, która mu się już sprzykrzyła, ale, sprzedawszy dobrze ów słup soli, zabrał sporo grosiwa i miał pieniądze do rozpoczęcia na ewakuacyi jakiegoś przedsiębiorstwa, aby nie wyjść z wprawy.

Nie miał jednak szczęścia w wyszukiwaniu owych mężów sprawiedliwych. Gdyby na jego miejscu był się znalazł ów historyczny żydek z Chrzanowa, wszystko byłoby poszło inaczej.

Slązacy cieszyńscy na froncie niemieckim.

Na czterech frontach walczą nasze dzielne wojska. Na niemieckim froncie walki osłabły wprawdzie, ale jednakowoż żołnierze polscy trzymać muszą straż, aby Niemcy pomimo rozejmu nie dopuszczali się gwałtów.

Na granicy Śląska Górnego znajduje się 10 p. p., którego ósma kompania złożona jest z samych cieszyńskich ślązaków.

Podajemy podobiznę tych śląskich zuchów, broniących Ojczyzny na froncie niemieckim.



Slązacy cieszyńscy na froncie niemieckim: Grupa żołnierzy ochotników ze Sląska

Walki na Wołyniu

Grupa wojsk polskich pod komendą generała Rydza Śmigłego w całej pełni podtrzymuje tradycye dawnych Legionów. Złożona przeważnie z dawnej szych formacyi Legionowych pod wodzą oficerów I. Brygady Legionów walczy obecnie na terenie dobrze znanym, na którym przez szereg miesięcy w r. 1916 wytrzymywała nawałę wojsk rosyjskich. Generał Śmigły, jeden z najdzielniejszych dowódców Legionowych, wiedzie swe oddziały od zwycięstwa



Walki na Wołyniu: Menaż oficerska w Cnełmie.

do zwycięstwa. Cała okolica Wołynia aż po Stochód została już oczyszczona z band bolszewickich i ukraińskich.

Ostatnie dnie przyniosły z tego terenu walk smutną wiadomość. Padł jeden z najdzielniejszych oficerów w tej grupie, znany Piłsudczyk, major Lis Kula. W walce z bolszewikami ugodzony kulą zmarł z otrzymanej rany — na posterunku.

Podajemy szereg illustracyi, obrazujących życie i warunki bojowe grupy generała Śmigłego. Walki na tym odcinku frontu należą do najtrudniejszych ze względu na bagniste tereny, w jakich się toczą.



Walki na Wołyniu Sztab generała Rydza Śmigłego w Lublinie.

Ze sceny krakowskiej.

Operetka w Teatrze Powszechnym w Krakowie, pracująca pod wytrawnem kierownictwem dyr. Lelewicza, zdobyła sobie zasłużone uznanie, zarówno zespołem sił, jak i doskonałą reżyseryą. Wśród



Ze sceny krakowskiej: Artystka operetki krakowskiej p. Helena Kamińska.

śpiewaczek, które na scenie Teatru Powszechnego zyskują sobie uznanie i sławę, niepoślednie miejsce zajmuje p. H. Kamińska, której ostatni występ w „Dzwonach z Corneville" należał do bardzo udatnych. P. Kamińska, młoda, pełna werwy i temperamentu śpiewaczka, wnosi na scenę wiele zapału dla sztuki. Przybyła do Krakowa ze Lwowa, gdzie w tamtejszym teatrze z powodzeniem pracowała.

Przed młodą śpiewaczką otwiera się szerokie pole do pracy, na którem niezawodnie przy odpowiedniem umiejętnem rozwinięciu swych zdolności zajmie niepoślednie miejsce.

Zjazd górników w Krakowie.

Dnia 23 lutego odbył się w Krakowie Zjazd górników i hutników polskich w oznaczonym terminie przy nadzwyczaj licznym udziale przedstawicieli polskiego górnictwa i hutnictwa z wszystkich dzielnic polskich. Z ramienia polskiego rządu uczestniczyli w zjeździe p. Hącia, minister handlu i przemysłu, szefowie sekcyi p. Świętochowski z ministerstwa handlu i przemysłu i p. Czapla z ministerstwa skarbu. W rezultacie prowadzonych przez prezesa Związku hr. Sągajłłę wyczerpujących obrad, w których głos zabierali wymienieni delegaci rządu, prof. Szajnocha, inż. Zarański, Schimitzek, Zdzisław Kamiński, Rieger, Skoczylas, Czapliński, Łempicki, Srokowski, Drobniak Franc., Czechowski i wielu innych.

Zjazd uchwalił zwrócić się do rządu w celu bezwarunkowego przyspieszenia otwarcia Akademii górniczej, w ten sposób, aby najmniej najbliższe dwa lata studyów otwarto w ciągu roku 1919. Ponadto postanowiono powołać natychmiast do życia komisye egzaminacyjne dla tych wszystkich słuchaczy zagranicznych wyższych uczelni górniczych, którzy z powodu wypadków wojennych nie są w możności kontynuowania rozpoczętych studyów.

W sprawie organizacyi władz górniczych uchwalono aby do ministerstwa handlu i przemysłu powołano pewną ilość zastępców z różnych działów przemysłu górniczego oraz związku górników i hutników w Polsce.

W sprawie kompetencyi ministerstwa pracy Zjazd protestuje przeciwko dekretowi rządu z dnia 3 stycznia b. r., który oddaje kompetencyi nad warunkami pracy w kopalniach i hutach ministerstwu pracy, oprócz tego Zjazd powziął uchwały odnośnie zarządu żup solnych, jako też w sprawie utworzenia ministerstwa górnictwa i w sprawie zarządu państwowymi zakładami górniczo hutniczymi i w kilku innych ważnych sprawach.

Z tygodnia.

O polski Gdańsk.

Dnia 8 i 9 marca odbyły się, jak Polska długa i szeroka, wiece i manifestacye za przyłączeniem Gdańska do Polski. Niema bowiem chyba Polaka, któryby nie czuł, że ten port nadbałtycki to nieodrodna cząstka Rzeczypospolitej Polskiej. Pomimo sztucznej germanizacyi Polska ma do Gdańska niezaprzeczone historyczne i etnograficzne prawa.

Ród piastowski panował w Gdańsku do r. 1309 bez przerwy. Panowanie krzyżackie nie trwało długo, bo już w r. 1466 Kazimierz Jagiellończyk bierze Gdańsk napowrót w swoje ręce i aż do rozbiorów Bałtyk polski pozostaje przy Rzeczypospolitej. Niejednokrotnie Gdańszczanie dawali dowody swego patryotycznego przywiązania do Polski.

Po rozbiorach, w ciągu stu lat pruskiej niewoli, ludność polsko-pomorska wszystkimi dostępnymi sobie środkami manifestowała gorące pragnienie odzyskania niepodległego bytu wspólnie z całą Polską.

Dwa razy usiłowało Pomorze ziścić ten ideał z bronią w ręku. Po raz pierwszy biorąc udział w wojnach Napoleońskich pod sztandarem Francyi przeciw Prusakom. Był to ruch przedewszystkiem szlachty.

Drugi czyn zbrojny wyszedł z łona ludu w 1848 roku. Był to ruch wśród młodej intelligencyi polsko pomorskiej przeciw Prusom, na czele którego stanął syn wieśniaczy, Floryan Ceynowa. Czujność i sprawność niemiecka udaremniły zamach wyzwoleńczy. Ceynowa został stracony.

Niemczyzna Gdańska wyhodowana została sztucznie, krzywdą i kosztem rodzimej ludności kraju. Cały ten balast napływowy musi odpaść i rozwieje się, jak śmiecie, gdy Gdańsk przejdzie napowrót pod prawe władanie Polski.

U wrót Bałtyku zajaśnieje znowu pośród ziemi polskiej — polski, patryotyczny, dumny ze swej polskości Gdańsk.

Wybuch magazynu amunicyi we Lwowie.

Po zerwaniu rozejmu Lwów znowu przeżywa tragiczne dni. Ukraińcy ostrzeliwują gwałtownie miasto, przyczem dnia 6 marca jeden z pocisków nieprzyjacielskich trafił w magazyn amunicyi, który wyleciał w powietrze.

Biuro prasowe Dowództwa Wojsk Polskich przesłało o tym wypadku następujący komunikat:

Jeden z naszych magazynów amunicyi, trafiony przypadkowo pociskiem, wyleciał w powietrze i to jest powodem bardzo silnych detonacyi, rozlegają cych się w całem mieście od godziny szóstej po południu.

Dowództwo „Wschód“ rozporządza dostateczną ilością amunicyi w wielu innych magazynach, tak, że strata spowodowana tym wybuchem, ogranicza się wyłącznie do pewnej szkody materyalnej oraz do straty w ofiarach samego wypadku w najbliższem otoczeniu.

Na przebieg walk oraz dostarczanie amunicyi oddziałom bojowym wpłynąć to zupełnie nie może.

Przeto wzywa się ludność, aby tym nieprzewidzianym wypadkiem nie dała wyprowadzić się przez wrogie elementy z równowagi i nadal wytrwała w dotychczasowem mężnem i spokojnem zachowaniu się.

Szczególną uwagę zwraca się na to, by ludność nie dotykała się amunicyi, rozrzuconej przez wybuch, lecz o ile możności w sposób widoczny ograniczała miejsca, na które amunicya rozrzucona została i donosiła o tych miejscach bezwłocznie władzom wojskowym.

Wedle doniesień pism lwowskich wskutek wybuchu było kilka osób rannych i kilkanaście poparzonych. Akcyą ratunkową kierował energicznie komendant dworca p. Bartel.

Pożyczka przymusowa.

Sejm przyjął ustawę o przymusowej pożyczce państwowej i ostemplowaniu banknotów.

Projekt ustawy zawiera następujące postanowienia:

1. Od znajdującej się na ziemiach polskich gotówki pobierany będzie jednorazowy podatek w wysokości 1 procent.

Podatkowi podlegają bilety w markach polskich i niemieckich, koronach austryackich i rublach.

2. W celu wymiaru i uiszczenia tego podatku, winien każdy posiadacz biletów, opiewających na powyższe waluty, przedłożyć je do ostemplowania. Nie należy przedkładać do ostemplowania biletów opiewających na: jedną koronę i dwie korony, 1 markę i 2 marki, oraz na 1 rubla.

Kto zgłosi więcej, niż 5000 marek, względnie 2400 rubli, względnie 6000 koron, ten otrzyma 50 procent sumy przedłożonej w ostemplowanych biletach, pozostałe zaś 50 procent w asygnatach skarbowych z roku 1918 na 1919 rok z przypadającym za czas do dnia 1 listopada 1919 r. procentem. Nabyte w tej formie asygnaty uwzględnione będą przy obliczaniu przymusowego udziału w nabywaniu pożyczki państwowej, w stosunku do całego majątku.

3. Urząd wymieniający zaopatruje bilety zwracane wnoszącemu, w stempel z orłem polskim i z napisem: „państwowy podatek zapłacony“.

4. Instytucye kredytowe, mające prawo przyjmowania wkładów, płacą ustanowiony podatek z całej pozostałości kasowej i mają prawo zapłacony podatek rozłożyć na wszystkich swoich wkładców w stosunku do posiadanych przez nich wkładów.

5. Asygnaty skarbowe, pożyczki państwowe z roku 1917 na 1918, mogą być używane do spłacenia wszelkich zobowiązań, płatnych po terminie, oznaczonym na rozpoczęcie stemplowania biletów w wysokości procentu długu, jeżeli dług wynosi więcej niż 5000 marek, względnie 2400 rubli, względnie 6000 koron.

6. Każdy obowiązany jest złożyć bilety tylko w jednej instytucyi.

7. Wzamian za ostemplowanie biletu, wydane będą przez Bank polski nowe bilety polskie po kursie, który Sejm uchwali.

8. Bilety nieostemplowane do dnia oznaczonego przez ministra skarbu ulegną konfiskacie. W wypadkach, kiedy będzie udowodnione, że banknoty dostały się do Polski drogą legalną i uchybienie terminowi ostemplowania nastąpiło wskutek przeszkód istotnych i usprawiedliwionych, minister skarbu ma prawo zezwolić na ostemplowanie i wymianę po upływie oznaczonego terminu.

9. Kto jest żonaty i ma dzieci, obowiązany jest do sprzedania biletów znajdujących się w posiadaniu żony i nieletnich dzieci, mieszkających u niego, liczy się za jedną całość.

10. Fałszowanie stempla i współudział w rozpowszechnianiu biletów ze sfałszowanym stemplem pociąga za sobą karę ciężkiego więzienia nie niżej pięciu lat.

Od Administracyi.

Zwracamy uwagę naszych P. T. Inserentów na nową taryfę inseratów w naszem piśmie „Nowości Illustrowane“, obowiązującą od dnia 15 lutego b. r.

Jednoszpaltowy wiersz	petitowy	K 1·—
„ „	nonpareillowy	K 1·40
„ „	w miejscu zastrzeżonem	K 2·—
„ „	w części reklamowej .	K 5·—

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: M. Lipińska. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie pod zarządem Pawła Madejskiego.